NUMER 20. LWÓW, DNIA 1. GRUDNIA 1904. ROK I.

PROMYK



Prenumerata wraz z przesyłką wynosi: w Austryi rocznie 2 K, półrocznie 1 K, kwartalnie 50 hal. W Królestwie w kopertach 4 ruble. W Niemczech 2 marki. We Francyi i w Szwajcaryi 5 franków. W Ameryce 1 dolar.

Numer pojedynczy 10 halerzy.

Pismo ilustrowane dla młodzieży i dzieci.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ulica Miłkowskiego l. II.
Filia Administracyi: Kraków, Grodzka l. 50.

Powstanie listopadowe.

Było to w gimnazyum wileńskiem w r. 1823. Pewien dziesięcioletni uczeń, nazwiskiem Michał Plater, wypisał w klasie na tablicy: „Niech żyje Konstytucya 3 Maja 1791“!

To wystarczyło, by sam gubernator zjechał do Wilna, rozkazał przeszukiwać notatki, książki i inne papiery studentów. Okropne kary posypały się na tych młodych chłopców, którym podobała się myśl, że ludzie i narody powinne być wolnemi.

Tak n. p. pięciu kolegów Platera zabrano wprost ze szkoły, pomimo, że nie skończyli nauki, do wojska moskiewskiego i zatrzymano tam jako prostych żołnierzy.

Możecie sobie wyobrazić, jakie katusze znosił naród, ludzie dorośli i dojrzali, jeżeli część mąk, która przypadała na nieletnie dzieci, tak była srogą. Na każdym kroku w życiu, przy każdym czynie, przy każdem postanowieniu, czy to chodziło ojcu o zapewnienie rodzinie lepszego bytu, czy o kształcenie dzieci, czy o zaprenumerowanie gazety, zawsze dawała się czuć niewola, knut carski.

Znacie podanie szwajcarskie o złym namiestniku Geslerze, który kapelusz swój powiesić kazał na żerdzi i srodze karał tych, którzyby się ośmielili kapeluszowi nie ukłonić. Czasy w Polsce przed r. 1831 porównuje historyk powstania, Maurycy Mochnacki, do czasów w Szwajcaryi, o których pisze podanie: „Czem była żerdź z kapeluszem władzy dla szlachetnych ziomków Tella — pisze Mochnacki — tem samem był dla nas kapelusz z białem piórem na głowie Konstantego Pawłowicza *). Przez lat piętnaście musieli się kłaniać Polacy temu kapeluszowi, ile razy grzmiący na bruku warszawskim turkot czworokonnego wozu carewicza z daleka nie ostrzegł przechodzących, aby w prawo i w lewo szukali schronienia. Rządy jego, jakże dziwny widok stawiają przed oczy nasze! Zabronił mówić i wszyscy umilkli. Nie pozwolił pisać, myśleć nawet: nikt nie pisał i nie myślał. Za dni jego ludzie byli na kształt figur woskowych, albo chorągiewek, które powiew każdego wiatru w coraz inną stronę obraca“.

Wszyscy, szlachta, magnaci, chłopi, żydzi, cierpieli najsroższe katusze. Po prostu nie można już było wytrzymać tego dłużej, a tu dochodziły głuche wieści z Europy, że lud najpierw we Francyi, potem w innych krajach chwycił za broń, by wywalczyć sobie więcej swobód. A jakże swobodnemi były te ludy w porównaniu do Polski!

Żeby to tak i u nas.... — marzono — żeby to i my swobodniej odetchnąć mogli....

A car gnębił i katował i tem katowaniem podniecał marzenia — Rosya była podówczas słabą, a niezadowolonych z jej rządów było wielu, wielu.... — a liczba ich rosła i chęć obalenia siły carskiej rosła, wzbierała jak rzeka, jak lawina!...

W nocy 30. listopada 1830 r. mieszkańcy Warszawy obudzeni zostali ze snu okrzykiem: „Do broni! do broni!“.

Było to hasło powstania.

Kto je rzucił? — młodzież.

---

*) Konstanty był bratem cara Mikołaja i jako wielki książę, w imieniu cara rządził Królestwem Polskiem.

Młodzież z Nabielakiem i Goszczyńskim na czele napadła Belweder, zamek Konstantego, wielkiego księcia. Konstantego wygnano po prostu, raczej zmuszono do ucieczki. W szkole podchorążych, Wysocki „dobył szpady i zawołał gromkim głosem do towarzyszy swoich: „Polacy! Godzina zemsty wybiła, dzisiaj zwyciężymy, albo polegniem, nadstawmy piersi nasze wrogom, aby były dla nich Termopilami“! — Rozległ się w sali okrzyk: „Do broni! do broni“! Dzielni młodzieńcy — opisuje Mochnacki — rozebrali ostre ładunki, które Szlegiel przyniósł, nabili karabiny i daleko prędzej, niżelibym to opisać zdołał, wzięli szyk bojowy na dole. Było ich wszystkich stu sześćdziesięciu i kilku; każdy z nich znał komendę brygady i dywizyi jak jenerał, a robił bronią, jak szermierz. Zręczniejszych tyralierów, celniejszych strzelców, pewnie żadne wojsko nie miało“.

Nie będziemy opisywali, jak młodzież i lud zdobywali prochownie, zwyciężali huzarów, dość, że powstanie wszczęło się. Dzień za dniem mijał na walkach, potyczkach, tworzeniu nowego rządu, nowych władz. Na murach Warszawy wywieszono wielkiemi literami wypisany wiersz Mickiewicza: „Witaj jutrzenko swobody, zbawienia, za tobą słońce!“

Dowództwo nad wojskiem polskiem oddano jednogłośnie jenerałowi Chłopickiemu, żołnierzowi z czasów Napoleona.

Chłopicki mianowany został dyktatorem powstania, tj. jedynowładcą aż do zebrania się sejmu. Sejm zebrał się z końcem stycznia 1831 i między innymi czynnościami swoimi zdetronizował cara Mikołaja jako króla polskiego, t. j. odebrał carowi tytuł króla, który tenże dotąd posiadał.

Po Chłopickim, który zawiódł pokładane w nim nadzieje powstańców i nie okazał się tak zdolnym do prowadzenia walki, jak myślano, naczelne dowództwo nad wojskiem przechodziło z rąk do rąk.

W dniu 7. lutego 1831, jenerał Józef Dwernicki zwyciężył Moskali pod Stoczkiem. O tem zwycięstwie śpiewa poeta polski, Wincenty Pol:

„Grzmią pod Stoczkiem armaty,
Błyszczą białe rabaty *)

A Dwernicki na przedzie,
Na Moskala sam jedzie!“

W dniu 25. lutego rozegrała się straszna bitwa pod Grochowem.

Bitwa pod Grochowem została nierozstrzygniętą, zwycięstwo nie przychyliło się na żadną stronę.

Powstańcy odnieśli świetne zwycięstwa nad przemagającemi siłami moskiewskiemi pod Wawrem w dniu 31 marca, pod Wielkim Dębem w dniu 1 kwietnia i pod Iganiami w dniu 10 kwietnia.

*) Wyłogi na ówczesnych mundurach wojskowych.

Powstanie rozszerzało się w tych czasach na Litwę, Podole i Wołyń. Na Litwie odznaczyła się między innymi, jako wódz powstańczy, Emilia Platerówna. Uzbroiła ona ze stryjem swoim lud wiejski i przebrana za żołnierza walczyła mężnie, tak, że jenerał Chłapowski mianował ją pułkownikiem. Śmierć tej odważnej dziewczyny opisuje Mickiewicz w pięknym wierszu p. t.: „Śmierć pułkownika“.

Po wielu bohaterskich zwycięstwach poniósł Skrzynecki pod Ostrołęką okropną klęskę, bo siły nieprzyjaciela były olbrzymie.

Moskale poczynali docierać już do Warszawy, która w dniu 8 września 1831 poddać się musiała z powodu nieudolności jenerała Krukowieckiego.

W dniu 11 października poddała się twierdza Modlin. A wódz rosyjski Paszkiewicz został wielkorządcą rosyjskim w Polsce.

Bohaterski wysiłek narodu, szlachetny zapał, górne nadzieje — uledz musiały strasznej przewadze wroga, głównie dlatego, bo brakło Polakom odpowiedniego dowódcy.

Alfons Daudet (czytaj Dode).

Nadzwyczajne przygody imci pana Tartarin'a z Taraskonu.

(Z francuskiego).

CZĘŚĆ II. U „TURKÓW“.

II. Do broni! Do broni! (C. d.)

Okręt nie tonął, przeciwnie — stał już w porcie.

Był to prześliczny port algierski. Niezwykle ciemna barwa wody wskazywała na olbrzymią głębię. Fal nie było prawie — zatoka robiła wrażenie jeziora.

Przed oczyma podróżnych rozciągał się pogodny Algier. Małe, białe domki odźwierciadlały się w morzu. A domków tych moc niezliczona, rozprószoną była nad brzegiem, na łąkach i wzgórkach. Powietrze było przejrzyste, a niebo tak jasne, pogodne, błękitne, jakiem tylko niebo południa być może.

Gdy Tartarin ochłonął nieco z przerażenia, począł spokojnie rozglądać się w koło. Trafem stał na pokładzie obok księcia Montenegro, który wskazywał palcem okolicę, tłumacząc współtowarzyszom podróży i nazywał każde miejsce po imieniu: „Tu jest Kasba, tam tak zwane „górne miasto“, tam ulica Bab-Azun“.

Jaki miły człowiek, ten książę Montenegro! Zna Algier przewybornie, mówi płynnie po arabsku. Tartarin postanowił trzymać się zawsze w jego pobliżu i zawrzeć z nim bliższą znajomość.

Nagle! — poręcz pokładu, na której opierał się wespół z księciem Montenegro, chwyciła chmara czarnych rąk. Prawie równocześnie ukazała się przed Tartarinem kędzierzawa głowa murzyna i zanim zdołał zawołać o pomoc, już czarna i ciemno-brunatna czerń zdobyła pokład, już uwijała się po okręcie!...

Zjawili się nagle, niespodzianie, jak gdyby powyrastali z ziemi i ciągle napływały nowe tłumy! Setki dzikusów, jak prawdziwi korsarze, wspinały się po linach i przeskakiwały zwinnie poręcz pokładu. Wszyscy byli na wpół nadzy i ohydnie brzydcy...

Tartarin poznał odrazu korsarzy! To „oni“! „Oni“, których szukał nadaremnie po ulicach Taraskonu! Przybyli wreszcie, widzi ich, ma ich w swej mocy!

W pierwszej chwili stał, jak przygwożdżony do miejsca. Gdy zobaczył jednak, że korsarze chwytają za pakunki podróżnych, ździerają z nich płachtę, którą kufry były zasłonione, plądrują okręt — oprzytomniał znowu. Obudził się w nim duch bohaterski — wyciągnął nóż myśliwski i zwróciwszy się do towarzyszy podróży, którzy nie widzieli snać grożącego niebezpieczeństwa, zawołał: do broni!

— Co to znaczy? Cóż pan robisz? Co się panu stało? — krzyknął kapitan, który wszedł właśnie na pokład.

— Kapitanie! Prędko! prędko! uzbrój pan całą załogę!

— Po co?

— Czy nie widzisz pan tam?...

— Cóż takiego?

— Tu! tu!... korsarze!...

Kapitan oglądał się zdziwiony. W tej chwili przeszedł obok nich olbrzymi murzyn, dźwigający na plecach podróżną aptekę Tartarina.

— Nędzniku! — ryknął Tartarin i skoczył na niego z dobytym nożem.

Kapitan wstrzymał go w zapale.

— Uspokój się pan! To nie korsarze! Ta okolica cicha i bezpieczna. Ci ludzie, to pakierzy!

— Pakierzy?

— Ależ tak! zapewniam pana. Wynoszą rzeczy podróżnych na ląd. Uspokój się pan. Włóż nóż do pochwy i idź za swoim pakierem, który jest najuczciwszym człowiekiem na świecie. Poznosi on wszystkie rzeczy pańskie, hotel wskaże, jeżeli zechcesz.

Tartarin był rozczarowany. Oddał kapitanowi bilet jazdy i zeszedł z murzynem do łodzi, która przypłynęła pod sam okręt.

Konserwy, zbroja, apteka, wszelkie kufry, paczki i worki były już na łodzi. Pakier usiadł na jednym worku.

Drugi murzyn wziął wiosła do ręki. Obaj śmiali się, wskazując palcem Tartarina i pokazywali dwa rzędy białych, jak śnieg zębów.

Łódź kołysała się łagodnie na spokojnem zwierciadle wody. Tartarin zaciął usta i trzymał kurczowo rękojeść noża. Patrzał uważnie na murzynów — żaden ruch ich nie uszedł jego baczności. Kapitan nie przekonał go bynajmniej. To mają być pakierzy, zwykli pakierzy? Nie! to niemożliwe! Niepodobni wcale do tarakońskich kolegów!

Po upływie pięciu minut przybiła łódź do brzegu. (C. d. n.)

Z pamiętnika Józia Gajka

ucznia I. klasy gimn.

(Ciąg dalszy).

I znowu Kubuś szukał roboty, ale nigdzie go nie chcieli przyjąć i śmiali się z niego, więc już chciał tylko komu opowiedzieć, jaki jest biedny, żeby mu kto poradził co, albo pomógł, ale jak zaczął opowiadać, to mu nie wierzyli i wyrzucali za drzwi, bo mówili, że dość jest żebraków w mieście, którzy ludzi w różne sposoby okłamują. Więc już tylko powoli szedł Kubuś ulicami i głowę zwiesił, bo już teraz zupełnie nie wiedział, co ma robić. Jaś był już bardzo zmęczony, więc Kubuś poszedł z nim ku ławkom, które widział na jednym placu pod drzewami i tam posadził Jasia. A sam tak myślał: Już nie wiem żadnego sposobu, a jak nic nie wynajdę, to Jaś umrze, bo nie mam co jeść dla niego. I jak to myślał, to nagle zdawało mu się, że najlepiej będzie, że zacznie krzyczeć, głośno wrzeszczeć i ludzie się zlecą i on im wszystko opowie, on im tak opowie, że muszą uwierzyć i już chciał to zrobić, ale przypomniał sobie, co złodzieje mówili o policyancie; jeszcze przyjdzie taki policyant i co potem będzie? On nie wiedział, co będzie, ale pewnie coś bardzo strasznego. I dlatego pomyślał: nie, ja nie będę wrzeszczał, ja sobie stanę przy ulicy i będę patrzał, jak ludzie przechodzą i przystąpię do jakiego pana i jemu cicho opowiem. I myślał, że tu muszą przechodzić i dobrzy ludzie, oj, żebym jak mógł poznać po twarzy, który jest dobry, a który zły! Więc kazał Jasiowi poczekać na ławce, a sam poszedł na ulicę i tam przechodził jakiś gruby pan, to on przystąpił nagle i cicho powiedział: Panie! I chciał dalej mówić, ale pan popatrzył, wyjął prędko 2 centy, dał mu i poszedł. I Kubuś chciał kupić coś za te 2 centy Jasiowi, ale wtem ktoś położył mu rękę na ramię. On obrócił się, a to był policyant. To Kubuś zatrząsł się ze strachu i chciał uciekać, ale policyant trzymał go mocno i powiedział: Mam cię ptaszku, to nie wiesz, że żebrać nie wolno? I prowadził go ze sobą. Kubuś przez chwilę nic nie mówił ze strachu, ale potem, gdy widział, że coraz dalej jest od Jasia, coraz dalej, zawołał: Panie policyancie! Ale policyant nic nie odpowiedział. A Kubuś powtórzył: Panie

policyancie, tam mój brat! Ale policyant powiedział: Gadaj komu innemu, mnie się nie wykpisz. Więc Kubuś zaczął cicho płakać, łzy mu spływały po twarzy i nagle znowu zaczął mówić: Panie policyancie, gdyby pan miał takiego małego chłopca, on sam w mieście i nikt mu nie pomoże, ja mu tylko został i on tam zginie, panie policyancie, gdyby pan miał takiego chłopca.... Policyant się nagle zatrzymał, popatrzył na Kubusia, a potem powiedział: Prowadź mię do twego brata! I Kubuś pocałował policyanta w rękę z radości i poprowadził i znalazł Jasia na tem samem miejscu i uściskał go, jakby z dalekiej podróży wrócił i potem poszli oba z policyantem. A policyant patrzał się bardzo na obu, patrzał się i nagle wziął Jasia na rękę i zaczął go nosić. Sam pan policyant! A potem wstąpił do sklepu kupił cukierków i jabłek i dał im i powiedział No, idźcie sobie z Bogiem! I Kubuś bardzo podziękował i bardzo się ucieszył i poszedł z Jasiem. Ale zaraz sobie przypomniał, że wszystko tak, jak było i nie wie, co ma robić, a tu wnet noc będzie. I przypomniał sobie tego pana, który mu dał 2 centy i postanowił znowu do którego przystąpić. On nie będzie żebrał, o nie, pan policyant zakazał żebrać, on tylko powie panu, że on nie ma gdzie spać z Jasiem i poprosi, żeby mu dał jakiś kącik w swem mieszkaniu do spania, jakiś bardzo malutki kącik, on się tam już zmieści z Jasiem.

(C. d. n.)

PORWANIE.



Do ryciny.

Rycina nasza przedstawia jeden z napadów zakonu krzyżackiego na Litwę. Krzyżacy palą wsie, a chłopca litewskiego uprowadzają, by go wychować na Krzyżaka, wroga Litwy. Mickiewicz w „Konradzie Wallenrodzie“ opisuje taki napad Krzyżaków.

Co czytać?

Zbliża się pora świąt, a z nią zwyczajnie wzrost dziecięcego księgozbioru.

Księgarnia H. Altenberga we Lwowie, (plac Maryacki), której staraniem wyszła już niejedna ładna książeczka, nadesłała nam do oceny mały zbiorek książeczek dla dzieci i młodzieży. Po przejrzeniu ich chcemy Wam mili Czytelnicy wskazać dobre dziełka i poradzić, co czytać macie.

Z dziedziny powieści śliczną jest książka włoskiego autora, Edmunda Amicisa p. t.: „Serce". Jest to pamiętnik chłopca szkolnego. Książka jest odpowiednią w wieku od lat 10 najwcześniej, do 15.

Z powieści osnutych na tle historycznem, leżą przed nami: O. Höckera „Olimpijczyk", wydawnictwo M. Arcta w Warszawie. Jest to powieść odpowiednia dla młodzieży, znającej dzieje starożytnej Grecyi, mniej lub więcej od 12-go do 15-go roku życia.

Z dziejów porozbiorowych i czasów Kościuszkowskich polecić możemy Czytelnikom dziełko Mieczysławy Śleczkowskiej p. t.: „Wśród dziejowej zawieruchy", wydane w Krakowie w księgarni Friedleina. Młodzież nie uczy się dziejów ojczystych porozbiorowych w szkołach. Czytanie poważnych dzieł historycznych w tym kierunku byłoby obok nauki szkolnej za trudnem i za męczącem zadaniem. Książeczka Śleczkowskiej przychodzi w pomoc polskiej młodzieży. Jest to dziełko poważne, a zajmujące i łatwe. Brzydkiej fabuły, która się w innych powieściach historycznych dla młodzieży na pierwszy plan wypycha i zasłania sobą wielkie wypadki historyczne — tu nie ma. Na tem książka bardzo zyskuje. Nie jest ona jednak wcale a wcale suchym podręcznikiem historyi. Jest ciekawem, barwnem, żywem opisem dziejowych wypadków, poprzerywanym wyjątkami z pamiętników współczesnych ludzi zasłużonych i poważnych.

Książeczka jest ilustrowaną, ozdobiona piękną i gustowną okładką. U dołu — ziemie polskie, na których zalegle ciemności, w które biją gromy, a u góry jasne duchy, wielkie serca i umysły narodu jaśnieją: Kościuszko, Lelewel, Poniatowski, Bartosz Głowacki, Rejtan i inni. Książek takich jest trzy, z których każda opisuje inną epokę dziejową i stanowi dla siebie odrębną całość. Sądzimy, że z przyjemnością i pożytkiem czytać je będą uczniowie i uczenice niższego gimnazyum lub równorzędnych klas innych szkół, w wieku od lat 12 lub 13. Cena części drugiej, która przed nami leży, jest 3 K 26 hal.

Leży też przed nami ilustrowana powieść, osnuta na tle dni dzisiejszych — na tle emigracyi ubogich rodzin polskich do Ameryki, za chlebem. Jest to książka A. Gruszeckiego, p. t.: „Na drugą półkólę", wydana nakładem Gebethnera i Wolfa w Warszawie.

Piękną i polecenia godną jest ciekawa książeczka, opisująca południową Afrykę, stosunki tam panujące i wojnę Burów, p. t. „Żołnierz Dewetta" Zofii Bukowieckiej, wydana w Warszawie nakładem Gebethnera i Wolfa. Książeczka ta jest ozdobiona licznemi ilustracyami.

Z dziedziny nauk przyrodniczych polecamy Czytelnikom naszym Stanisława Kramsztyka: „Doświadczenia fizyczne bez przyrządów" ze 100 rysunkami w tekście. Książeczka ta wyszła nakładem Orgelbranda i Synów w Warszawie. Są to krótkie opisy, z których parę znają Czytelnicy nasi z poprzednich numerów „Promyka".

Jeżeli który ze starszych Czytelników naszych lub ich starszego rodzeństwa, dla którego „Promyk" jest za dziecinnem pismem, ciekaw jest podań ludu polskiego. Jeżeli lubi słuchać, co sobie lud fantastycznie opowiada o powstaniu gór, rzek i stawów — to polecamy im pięknie bardzo i starannie wydane „Bajki", które wedle Wojcickiego, po części w narzeczu ludowem, spisał J. Kasprowicz. Dziełko to ozdobione jest bardzo pięknemi ilustracyami Dębickiego i wydane staraniem księgarni Altenberga we Lwowie.

Czytelnikom młodszym od lat 7 do 10 polecamy gorąco przepiękne opowiadanie slynnej polskiej autorki, Elizy Orzeszkowej p. t. „Przygody Jasia" wydane staraniem Spółki Nakładowej w Warszawie. Ślicznie tam opisano, jak to mały Jaś nauczył się kochać i szanować biednych ludzi.

Ładnie ilustrowane „Wesołe bajki ze świata zwierzęcego" dla dzieci w wieku od lat 9, wyszły w Warszawie nakładem Treptego.

Polecamy Czytelnikom od lat 9—12 „Latarenkę".

Dzieciom od lat 7-miu do 9-ciu lub 10-ciu polecamy: „Opowiadania Wróbelka" E. Lazarusówney, wydane u Altenberga we Lwowie.

Dla dzieci 5-cio i 6-letnich polecamy piękną bajeczkę Konopnickiej o "Janku Wędrowniczku", a dla mniejszych, trzy, cztero i pięcioletnich leżą przed nami ładne książeczki, n. p.: „Śliczny maj" Or-Ota, wydane u Arcta w Warszawie. Są to wierszyki z bardzo pięknemi ilustracyami. Format książeczki jest leżący, więc dzieciom, które drzeć lubią, dać go do ręki trudno.

Również u Arcta wydana ładna książeczka „Panna Micia" — bardzo dobrą jest do czytania dzieciom i bogato ilustrowaną. Cała książeczka wyciętą jest w formie laleczki, więc górna część (głowa laleczki) drze się bardzo łatwo. (Dok. nast.)

Odpowiedzi od Redakcyi.

Irence z Machowy. Dziękujemy Irence za list i adres Władzia. Nie spodziewaliśmy się, że Irenka umie pisać tak wprawnie!

Mani H. w Przemyślu. Za nowy zbiór zagadek dziękujemy Mani bardzo.

Różowej Różyczce w Krakowie. Cieszyliśmy się bardzo listem Różyczki. Żądany numer wysyłamy równocześnie.

Tosi S. we Lwowie. Miło nam bardzo, że sprawiliśmy Tosi radość — niech Tosia częściej zagadki przysyła, to z pewnością znajdzie się znowu która dobra do druku. „Promyk" dostaje tyle zagadek, że wszystkich drukować nie może, a tylko wybiera najlepsze. Za bajeczkę też Tosi bardzo dziękujemy.

Marcelkowi S. w Zaleszczykach. „Przygody imci pana Tartarina“ są bardzo długie i nie wnet się skończą. W zeszłym numerze zapomniał drukarz podpisać: c. d. n. Henryk S. abonuje „Promyk“. Prenumerata Marcelka kończy się dopiero przed Nowym Rokiem.

Hermince S. we Lwowie. Kwadrat nie nadaje się do druku, bo linie pionowe i poziome powinne zawierać te same wyrazy, albo co najmniej przekątnie tak czy wspak czytane, powinne to samo oznaczać.

Leonowi M. w Stanisławowie, Dziwi to Leosia, że Redakcya zgadła? Dziękujemy serdecznie za list i zagadki. Pieniędzy na kalendarz nie otrzymaliśmy.

Janince Różyckiej we Lwowie. Ponieważ Janinka nie wiedziała, czy odpowiedź w „Promyku“ do niej się odnosi, wymieniamy całe nazwisko. Czemu Janinka nie przysłała rozwiązania zagadek? Ucieszymy się bardzo, jeżeli Janinka nam napisze.

Czytelnicy nasi uskarżają się często na to, że „Promyk“ ich nie dochodzi. Administracya wysyła pisemko regularnie — zapewne ginie na poczcie. Prosimy więc Czytelników, by reklamowali, ilekroć „Promyk“ nie dojdzie ich najdalej 4-go lub 18-go każdego miesiąca, a wyszlemy bezwłocznie drugi egzemplarz.

Rozwiązanie zagadek Nr. 19-go:

ŁAMIGŁÓWKA

ułożona przez Leona M. ze Stanisławowa:

O - SIOŁ SIOŁ - O

SZARADA

nadesłana przez Manię H. z Przemyśla:

INDYE — INDUS.

ZAGADKA

nadesłana przez Tosię S. ze Lwowa.

STEFAN CZARNIECKI

(Sowa, stół, kret, traf, ptak, Andy, Cisa, azot, plac, ogar, Bona, pika, emir, ocet, orka, pani).

ZAGADKA

z N-ru 20 zamieszczona w „Kąciku dla małych dzieci“

SOWA.

Rozwiązanie zagadek Nr. 19 nadesłali:

Irenka F. z Machowy, Janinka F. ze Lwowa, Adaś K. z Krakowa, Lorcia i Brońcia N. z Tarnopola, Różowa Różyczka z Krakowa, Tosia S. ze Lwowa, Marcel S. ze Zaleszczyk, Marya Elżbieta S. z Myszkowiec, Herminka S. ze Lwowa, Leon M. ze Stanisławowa.

Książeczkę z obrazkami do malowania dostają Lorcia i Brońcia N. z Tarnopola.

Zagadki.

ZAGADKA

nadesłana przez Stasia S. z Przemyśla.

Pierwsze z drugiem: owad najzłośliwszy w świecie.
Trzecie: spółgłoska — szukaj w alfabecie
Wszystko jest grodem we wschodniej krainie,
Która z odwagi bohaterskiej słynie.

KRZYŻ MAGICZNY

nadesłała Biała Lilijka ze Lwowa.

```
          1           +
           2      .   +  .
            3  .  .   +  .  .
          4 .  .  .   +  .  .  .
        5 .  .  .  .  +  .  .  .  .
      6 +  +  +  +  + +  +  +  +  +  +
        7 .  .  .  .  +  .  .  .  .
          8 .  .  .   +  .  .  .
            9  .  .   +  .  .
              10  .   +  .
                 11   +
```

1) Spółgłoska. 2) Potrzebna do szycia. 3) Wyspa na morzu śródziemnem. 4) Miejscowość pod Lwowem. 5) Miasto w Niemczech nad Menem. 6) ?. 7) Dłuższa przechadzka. 8) Góra w Tatrach. 9) Inaczej zakonnik. 10) Wykrzyknik. 11) Spółgłoska.

Litery czytane w krzyż, dadzą nazwisko słynnego powieściopisarza.

SZARADA

ułożył Leoś M. ze Stanisławowa.

W Rzymie je noszono z „t“. Z „u“ nas noszą, gdzie kto chce.

ŁAMIGŁÓWKA

ułożona przez Romcię Z. ze Lwowa.

Jak można odjąć pięć od ośmiu, aby nic nie zostało?

Za rozwiązanie zagadek Nr. 20 przeznaczamy książeczkę Stanisława Kramsztyka p. t. „Doświadczenia fizyczne bez przyrządów“ (nakład drugi).

Ilustrowany kalendarz „Promyka“ na rok 1905

zawiera ładne powiastki, pogadanki naukowe, poezye, gry towarzyskie, zabawy, sposób wyrobu zabawek, robótki ręczne i t. d.

Cena 60 halerzy.

Dla abonentów „Promyka“ wraz z przesyłką 50 halerzy.

Kącik dla małych dzieci.

Króliczki.

Dziaduś Anielci miał daleko za miastem, już na wsi to było, mały domeczek. Mieszkał w nim zawsze. Anielcia nie mogła tam mieszkać, choć jej się tam bardzo podobało, bo jej tatuś miał zajęcie w mieście. Tylko czasem wyjeżdżała do dziadusia i wtedy zawsze przez parę dni zostawała. Razu pewnego rzekł do niej dziaduś:



— Siądź sobie we drzwiach cichusieńko, pokażę ci coś ślicznego.

To mówiąc, usiadł sobie dziaduś przed domem na kłodzie, która pod oknem leżała. Na kolanach miał główkę sałaty, a w czapce dużo ziarenek rozmaitych. Posypał ziarneczka na ziemię i wołał: truś, truś, truś, truś, truś! W tej chwili zleciały się do ziarneczek wróble, a gołąbki, dla których dziadzio zrobił ze słomy gniazdko koło okna, wystawiły główki, aby przypatrzeć się, co się tam dzieje. Z za kłody, z za ściany od strony stajenki, w podskokach, żwawo, prędziutko pozbiegało się siedmioro bialusich, ślicznisusich królików! Wskakiwały dziadziusiowi na kolana, zeskakiwały na ziemię, goniły się a jeden z nich ciągle sztuczki pokazywał i stawał na dwóch łapkach jak piesek, kiedy „służy“. Wszystkie wracały co raz do sałaty i gryzły ją chciwie.

Anielcia nie mogła już wytrzymać za drzwiami, cichuteńko na paluszkach postępując, przysunęła się do dziadka. Króliki zobaczywszy ją, już chciały uciekać, ale dziadzio uspokajał je: truś, truś, truś — i zostały. Dziaduś dał jednego Anielci na rączki, Dziewczynka nie posiadała się z radości.

— Jaki słodziusi! jaki milusi! — wołała, głaszcząc zwierzątko delikatnie po uszkach i sierści — a jaki oswojony! Gdzie one mieszkają dziadusiu?

— W stajence — odrzekł dziadek. Porobiłem im tam z długich a wązkich skrzyneczek mieszkanka i postawiłem je w kącie na ziemi. innym pod murem wylepiłem jamki, ciepło im tam i dobrze. Jedzą siano, kapustę, sałatę, trawę, listeczki, jarzyny, co jest, a najchętniej chrupią sałatę.

— I całkiem są oswojone? wcale nie dzikie? — pytała dziewczynka.

— Zupełnie nie — rzekł dziadzio. — Dzikie króliki mieszkają w lasach, najczęściej w takich, w których nie ma zajęcy i nigdy nie są całkiem białe, lub czarne, lub pstre, jak króliki swojskie, lecz bronzowawe. Dzikie króliki grzebią sobie same podziemne nory w lasach i w nich mieszkają. Okropnie są płochliwe, wszystkiego się boją, przez cały dzień z norki nie wychodzą, tylko z wieczora i nocą idą karmić się leśnemi roślinkami. Te króliki moje są swojskie, bo ich rodzice już byli oswojeni i one urodzone są w domu, a nie w lesie.

O kowalu.

Miecia dowiedziała się dopiero, że jej tatuś jest kowalem.

Miecia wiedziała tylko, że tatuś codziennie wychodzi rano z domu do fabryki. O fabryce wiedziała, że jest to ten wielki dom, który z daleka widać, z ogromnym kominem.

— Co robi tatuś w tej fabryce? — spytała dnia pewnego Miecia babuni.

— Kuje.

— Kuje? co to znaczy.

— To znaczy, że tatuś jest fabrycznym kowalem. Przy fabryce jest kuźnia — opowiadała babunia dalej — tam tatuś pracuje. W kuźni stoi duży kawał żelaza, coś tak jakby stołeczek z żelaza, tylko węższy znacznie od naszych stołeczków — to kowadło. W kuźni jest też bardzo duży piec, na którym przez cały dzień wielki ogień bucha. Tatuś wrzuca do tego ognia rozmaite kawałki żelaza, a gdy te kawałki tak się w ogniu rozpalą, że są czerwone jak żarzące węgle, wyjmuje je tatuś, kładzie na kowadło i kuje wielkim i ciężkim kowalskim młotem. Wtedy to żelazo można wyginać, lub spłaszczyć, lub wydłużyć, jak się chce tylko trzeba porządnie młotem walić tak długo, jak długo żelazo jest gorące, bo jak wystygnie, to już się nie wygnie więcej, chyba że się go jeszcze raz do ognia włoży.

— A czy się tatuś nie popiecze, wyjmując z ognia rozpalone żelazo? — zapytała Miecia.

— Nie, dziecino — rzekła babunia, gładząc ją po włoskach — bo nie wyjmuje go rękami, tylko wielkiemi szczypcami. W szczypcach żelazo się trzyma na kowadle przy kuciu.

— To bardzo dobrze! — zawołała dziewczynka — a co tatuś robi z tego żelaza.

— Albo rozpłaszczy je na kowadle i robi łopaty, albo wygina i robi podkowy, albo wykuwa obręcze żelazne, łańcuchy, młoty i rozmaite inne przedmioty. Gdy żelazo jest gorące, nadaje mu kowal taki kształt, jaki chce, a po wystygnięciu już go żelazo zatrzymuje i choć zupełnie wystygnie, zostaje już łopatą, młotem, obręczą, podkową, w którą wykuł kowal gorące żelazo.

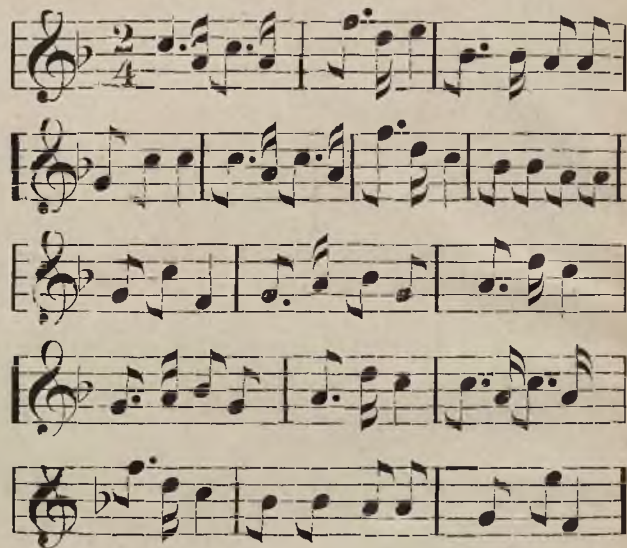
W tem drzwi się z trzaskiem otwarły i wszedł starszy braciszek małej Mieci do pokoju. Janek miał torebkę z książkami na plecach a w ręku koszyczek. Wracał ze szkółki i wołał wesoło:

— Ślicznie dziś było w szkółce! bawiliśmy się w kowala!

Miecia ciekawie na niego spojrzała. Jak to się dziwnie składa, właśnie i jej babunia o kowalu opowiadała.

— Jak to się bawi w kowala? — spytała braciszka.

— Zaraz, zaraz pokażę — wołał chłopczyk wesoło — niech babusia sobie tu siędzie, ot tak, koło babusi Miecia, dobrze, a teraz zaraz wrócę. — To mówiąc wybiegł i z sąsiedztwa przywołał Marysię i Stasia i posadził ich koło Mieci. — Teraz zaśpiewam wam, jak w szkółce:



Hej, kowalu, spiesz się, spiesz
I obcęgi w rękę bierz,
Prędko sztabę w ogień włóż,
Bo mój konik czeka już.
Masz tu dwie złotówki,
Zrobisz mi podkówki.
Hej, kowalu, spiesz się, spiesz
I obcęgi w rękę bierz!

Hej, kowalu, spiesz się, spiesz
I młot wielki w rękę bierz.
Prędko mi podkówkę kuj.
Bo się zrywa konik mój.
Zrób podkówki cienkie,
Bo nóżki maleńkie.
Hej, kowalu, spiesz się, spiesz
I młot wielki w rękę bierz.

gdy śpiewał o młocie, to wszystkie dzieci i babunia udawały, że kują młotem; zaciskały pięści i kuły jedną pięścią o drugą, a gdy śpiewał o szczypcach, to naśladowały dwoma palcami szczypce, a gdy o płaceniu, to niby palcami pieniądze liczyły. Potem nauczył Janek tej piosenki babunię i dzieci i wszyscy chórem śpiewali i bawili się wesoło.

Zagadka.

Dla małych dzieci, napisał Leon Meyer.

W nocy czycha, w dzień się chowa,
Ptak ten się nazywa — — —

(Rozwiązanie tej zagadki znajduje się na 168 str. „Promyka")

Wydawc. i odpow. redaktorka: Jadwiga Czajkowska. Drukarnia Udziałowa we Lwowie, ul. Kopernika 20.